

Kolonizacja w XXI wieku

27 października 2022

Strona jest dobrze wypożyczonowana: pojawia się jako jeden z pierwszych wyników zapytania „grounds Paraguay for sale”. Technicznie nic specjalnego: prosty html, kolumna ogólnych informacji po lewej, po prawej kilka pocztówkowych fotografii z regionu. Szczegółowe dane dotyczące kolejnych ofert umieszczono w prostokątnych segmentach uporządkowanych jeden pod drugim w środkowej części witryny. Tekst widnieje w języku angielskim. Podano dwa numery telefonów: jeden paragwajski, drugi dla klientów z Urugwaju.

Wstęp stanowi opis warunków naturalnych. Dowiadujemy się, że centralną, północną i zachodnią część regionu charakteryzuje półsuchy klimat stepowy z roczną sumą opadów między 550 a 1000 mm na metr kwadratowy. Roślinność zmienia się od niskich, kolczastych zarośli na zachodzie po gęsty las suchy na północy.

„Przeważająca część środkowego i północnego Chaco nadaje się doskonale do hodowli bydła. Wystarczy tylko wyczyścić [podkreślenie moje – W. G.] naturalny drzewostan i wysiać pożądane gatunki traw”. Z tym czyszczeniem nie chodzi o zebranie śmieci, tylko karczowanie lasu. Następnie pojawia się informacja, że w niektórych zakątkach regionu – przede wszystkim na krańcach północno-wschodnich – wyższe opady pozwalają na rozwój plantacji zbóż i soi.

Powyższy opis ilustrują fotografie z prawej kolumny. Na pierwszej z nich widzimy samochód terenowy, który brnie piaszczystą drogą wyrżniętą wśród pożółkłej roślinności. Na kolejnej: stado krów kryje się przed palącym słońcem w obszernym cieniu samotnego drzewa. Umieszczone poniżej zdjęcie lotnicze oferuje panoramiczny widok na serię świeżo wylesionych, prostokątnych działek, ułożonych w idealnym porządku jedna obok drugiej. Ogranicza je dookoła gęsty las.

Po zachęcającym wprowadzeniu dostajemy krótki akapit analizujący ewentualne wady inwestycji w regionie. Ze względu na globalne ocieplenie w ostatnich latach wyłesianie staje się tematem kontrowersyjnym, przyznaje autor. „Należy wziąć pod uwagę, że w niedalekiej przyszłości może pojawić się wymóg ekocertyfikatów dla wszystkich, którzy chcieliby eksportować mięso do krajów pierwszego świata”. Podejrzewam, że ta uwaga o „pierwszym świecie” ma zasugerować czytelnikowi, że jeśli ma on zamiar wysyłać wołowinę do Chin czy Rosji, nie musi się martwić o nic, a już na pewno nie o globalne ocieplenie. Tak czy inaczej rekomendacja jest jedna: karczować do gołej ziemi i czerpać zyski pełnymi garściami.

Druga uwaga dotyczy pożądanых charakterystyk samego inwestora: „Chaco nie jest miejscem na rodzinną farmę”, informuje podtytuł. „Wielkie dystanse, brak szkół, sklepów czy wiosek sprawiają, że życie rodzinne w Chaco może okazać się zbyt trudnym wyzwaniem”, tłumaczy szczegółowo autor. I za chwilę dodaje, że typowi kupcy chakeńskich ziem to międzynarodowe korporacje sektora agro, spekulanci rynku nieruchomości (czy jak przetłumaczyć land bankers?) oraz indywidualni posiadacze ziemscy mieszkający w Asunción lub zagranicą.

Wspomniane wielkie dystanse ukrywają dodatkową zaletę: „oferowane ziemie nie wymagają ochrony ani dozoru”. Wyprzedawane tereny leżą tak daleko, że bezrolni i niezmotoryzowani chłopci ze wschodu kraju nie mają jak tam dotrzeć, by ewentualnie je okupować.

Z zakończenia dowiadujemy się, że nie istnieją żadne ograniczenia prawne, jeśli chodzi o nabywanie ziem przez obcokrajowców. Nic tylko kupować.

Cztery tysiące hektarów w Palmar de las Islas za niewiele ponad milion dolarów. Pięć tysięcy hektarów w okolicach La Patria za trzy miliony. Osiem tysięcy trzysta hektarów w Agua Dulce – pięć milionów czterysta tysięcy. Oferty są zaopatrzone

w zdjęcia satelitarne i szczegółową charakterystykę lokacji: dostęp (lub nie) do słodkiej wody, stopień wylesienia i ewentualna obecność twardego drewna (jeśli chciałbyś zająć się jego sprzedażą, można się domyślać).

Ceny zaskakują. Od 200 do 1100 dolarów za hektar, czyli półdarmo w porównaniu do bajątkowych sum, jakie należałoby zapłacić na wschodzie kraju. Ale jako że wśród oferowanych terenów nie ma ani małych, ani średnich – mowa nie o jednostkach czy dziesiątkach, tylko od razu o tysiącach hektarów – potencjalni kupcy muszą dysponować kwotami od miliona dolarów w górę.

W ten sposób Chaco zamiast stać się możliwym miejscem do życia dla ubogich Paragwajczyków, trafi w całości w ręce obcokrajowców: wielkich hodowców bydła i spekulantów. A kiedy, spóźnieni, w głąb Chaco dotrą bezrolni chłopcy z protestami i żądaniem paragwajskiej ziemi dla Paragwajczyków, będą musieli zapłacić już nie 200 a 20 000 dolarów za hektar, tak jak dziś na wschodzie kraju. To chyba jest ta cała gospodarka oparta na wiedzy, o której tyle mówi się w XXI wieku: ci, którzy wiedzą, nikomu nic nie mówią, a potem wykorzystują niewiedzę tych, którzy nie dowiedzieli się na czas.

Na koniec czytamy: „Jesteśmy agencją nieruchomości specjalizującą się w sprzedaży pastwisk i lasów pierwotnych w Paragwaju z piętnastoletnim doświadczeniem działalności w Ameryce Południowej”. „Jesteśmy”, czyli jest ich kilku. Wierzą, jak piszą w dalszej części prezentacji, że ziemie niepoddane jeszcze eksploatacji człowieka – takie jak wspomniane lasy pierwotne, które wciąż czekają na kogoś, kto je wspaniałomyślnie wykarczkuje i zrobi z nich pastwisko – oferują możliwość największych zysków (pieniądze, więcej pieniędzy!). I że – w to również wierzą, znaczy się ludzie bardzo wierzący – „aktualnie to właśnie w paragwajskim Chaco czekają najkorzystniejsze okazje biznesowe w całej Ameryce Łacińskiej”.

Może pod warunkiem, że nie jesteś Paragwajczykiem. [...]

Trasa Transchaco – tych siedemset kilometrów asfaltu różnej jakości rozciągających się między Asunción a granicą z Boliwią – jest jak proste cięcie w żółtawej magmie nieprzebitego suchego lasu. Podróżny brnie między dwoma kurtynami drzew jak w monotonnym filmie: tysiące identycznych jadłoszynów, pejzaż, który nie zmienia się nigdy. I pewnie tego właśnie spodziewaliśmy się po sercu Ameryki: imponującego ogromu natury w stanie nietkniętym.

Bogata fauna potęguje żywe wrażenie intymnej bliskości dzikiej przyrody. Wyobrażasz sobie pedałowac samotnie po bezludnej puszczy z tysiącem papużek wirujących ci nad głową? Te zielone ptaszki o kanciastych główkach zbudowały sobie obszerne gniazda na szczytach słupów energetycznych, które ciągną się nieprzerwanym rzędem wzdłuż wielokilometrowej drogi. Atmosferę wypełnia krzykliwe, a zarazem słodkie szczebiotanie. Im bardziej oddalić się od stolicy, ptasi zgiełk potężnieje. Oto niezłomna żywotność przyrody: Gran Chaco Americano w całej okazałości, drugi największy las kontynentu zaraz po Amazonii (i zaraz po tym jak Puszcza Atlantycka, wycięta w pień w przeszło dziewięćdziesięciu procentach, spadła w leśnym rankingu na dalsze pozycje).

„Gdy przychodzi sezon na guajawy, wyżerają mi wszystko” – skarży się Sara Fischer, dyrektorka radia Paí Pukú. „To już kilka lat jak nie jem guajaw z przydomowego ogrodu” – kręci głową i dodaje: „Dawniej tak nie było”.

Nie potrzeba specjalistycznych narzędzi. Każdy może wziąć do ręki telefon komórkowy, wejść w jedną z aplikacji z mapami, wybrać widok satelitarny i zobaczyć, jak paragwajskie Chaco pełne jest bladożółtych prostokątów, które dziurawią jak durszłak zmizerniałą zieloną chmurę reprezentującą las. Prostokąty skupiają się przede wszystkim w środkowej części regionu wokół menonickich kolonii, tworząc sporej wielkości owal, gdzie naturalną roślinność wycięto niemal w stu

procentach.

„Chodzi o to, że papugi nie znajdują już wysokich drzew w okolicy” – tłumaczy Sara – „i dlatego zbliżają się do ludzkich osad. I do drogi, gdzie przynajmniej mają do dyspozycji betonowe słupy”.

Wąskie pasma lasu pozostawiono po obu stronach asfaltu, byśmy nie zauważyli, że dalej od szosy nie ma nic prócz pastwisk.

Nieregularna plama deforestacji rozgałęzia się na cztery strony świata, pozostawiając w stanie nietkniętym – póki co – zielony obszar na północno-zachodnim krańcu kraju. To Park Narodowy Obrońców Chaco. Zabawne, że patrząc na sam tylko obraz satelitarny, moglibyśmy z łatwością wytyczyć granice między państwami. Tam, gdzie wylesianie wygasa powoli w kierunku północnym, to już Boliwia. Miejsce, gdzie las gęstnieje na południu – to Argentyna.

„W Paragwaju jest dużo łatwiej” – mówił mi argentyński hodowca z Formosy, prowincji graniczącej z Paragwajem i stanowiącej naturalne przedłużenie regionu Chaco.

Władze Formosy wprowadziły ograniczanie na wyrąb lasów i co miesiąc analizują zdjęcia satelitarne w poszukiwaniu właścicieli przekraczających dopuszczalne normy. Reguły nie są przestrzegane zbyt restrykcyjnie, ale przynajmniej istnieją.

„Brazylia też zaczyna się interesować tematem ochrony środowiska” – mówi mężczyzna. „Dlatego ludzie kupują ziemię w Paragwaju, gdzie nie masz ograniczeń, limitów. Nawet podatków nie płacisz”.

Z jakiegoś powodu media na całym świecie obrały sobie boisko futbolowe za uniwersalną miarę deforestacji. Wykarczowano powierzchnię odpowiadającą tylu to i tylu boiskom piłkarskim, słyszymy. Wydaje mi się, że w przypadku Chaco warto byłoby wybrać większą jednostkę miary. Na przykład: księstwo Monako. Według danych dostarczanych przez organizację Guyrá Paraguay w

2015 roku karczowano średnio cztery księżstwa dziennie: 782 hektary, czyli około jednego Gibraltaru. Rekord padł w lipcu, kiedy wycinano przeciętnie osiem księstw na dobę, dwieście czterdzieści pięć Monak – lub jedną Andorę – na przestrzeni miesiąca. W ciągu roku: powiat krakowski, powiat kaliski i Miasto Stołeczne Warszawa razem wzięte.

W oparciu o obrazy dostarczane przez satelitę LANDSAT ocenia się, że w pierwszych osiemnastu latach XXI wieku paragwajskie Chaco straciło 44 tysiące kilometrów kwadratowych lasu. To blisko 20% powierzchni regionu: nieco więcej niż cała Szwajcaria, nieco mniej niż dwie Macedonie.

„I dopiero zaczynamy!” – drwi z gorzką ironią Miguel, który administruje salonem sprzedaży maszyn rolniczych na wschodzie kraju.

Chociaż kolonizacja zachodniej części Paragwaju ruszyła po wojnie z Boliwią, prawdziwy boom na chakeńskie ziemie to kwestia ostatnich lat. Zdjęcia satelitarne z 1985 roku oferują nam obraz regionu w stanie niemal nietkniętym. Tymczasem do dziś zachowało się jedynie 13 milionów hektarów, zaledwie połowa naturalnego drzewostanu. Przy obecnym tempie wylesiania ostatnie drzewo w Chaco zostanie wycięte za 53 lata. Do startu, gotowi, ciąć.

„I nie potrafimy się opamiętać” – dodaje Miguel, po czym powraca wzrokiem w kierunku ekranu komputera, kręci głową i wskazuje na krótki akapit wyedytowany małą czcionką na dole strony. „To pisze człowiek, który żyje z karczowania lasów” – mówi.

Wewnętrzna korespondencję firmy, w której pracuje Miguel, opatrzone informacją o tym, jak bardzo administracji zależy na dobru środowiska naturalnego i że w związku z tym odbiorca powinien dwa razy pomyśleć, zanim zdecyduje się wydrukować e-maila.

Właścicielem przedsiębiorstwa jest król soi, Tranquilo Favero.

„Dawniej karczował puszcę na wschodzie kraju, wyrównywał grunt i tak przygotowane pola przekazywał plantatorom” – mówi Miguel. „Jeśli rolnikowi, który zamówił usługę, szło dobrze w kolejnych żniwach, płacił gotówką. Jeśli nie, Favero zabierał ziemię. Nigdy nie tracił”.

Teraz, gdy Puszcza Atlantycka przestała istnieć, firma przeniosła się do Chaco. I nie jest jedyną.

Jeśli przyjrzymy się z bliska satelitarnym obrazom, region przypomina skrupulatny rysunek techniczny albo topografię układów scalonych komputera. W każdym razie bardziej jakiś teoretyczny plan niż makroskopową rzeczywistość, która przecież zwykła wymykać się geometrycznym formom i idealnemu porządkowi. Bładożółte prostokąty – świadectwa o wykarczowanych lasach – okazują się doskonale uporządkowane jeden obok drugiego, formując długie rzędy gigantycznych pastwisk, wyciętych z precyzją chirurgiczną, zaskakującą, bezlitosną.

Zdumiewa żarłoczna pazerność, z jaką się postępuje. Bierze się w ręce region wielkości sporego europejskiego kraju i w sposób zaplanowany, z zimną krwią, niszczy się go kawałek po kawałku. Patrzysz na to i pytasz: co czują operatorzy buldożerów, którzy dzień w dzień zwalają drzewa, wrywają z korzeniami krzewy, widzą paniczną ucieczkę zwierząt i czują smród spalonego mięsa węży czy pancerników, które nie oddaliły się na czas? Jakie wrażenie ich ogarnia, gdy skończywszy pracę, oglądają jej efekt: długi na kilometr martwy płat szerniałej ziemi w miejscu, które jeszcze kilka dni wcześniej tętniło życiem? Czy chociaż przez chwilę pomyślą o sobie: winni? Zabójcy? Przyjdzie im do głowy wątpliwość, wyrzut sumienia? A z drugiej strony: czy to nie oni jako pierwsi spotkają się z ostatnimi grupami etni Ayoreo z tych, które zdecydowały się nie wchodzić w interakcję z tak zwaną cywilizacją? Ich również stracimy: Ayoreos to jedne z ostatnich nieskomunikowanych grup na kontynencie. Na świecie. A kiedy już wytniemy wszystkie drzewa, kiedy odnajdziemy wszystkich przedstawicieli ludności

rdzennych i pokażemy im, co to jest własność prywatna, kiedy damy im iPhony, coca-colę i zasiłek dla bezrobotnych; kiedy wybijemy wszystkie pszczoły i wszyscy razem zachorujemy na raka albo inne choroby powodowane nadmiernymi dawkami toksycznych związków chemicznych i metali ciężkich; i kiedy nawet rumianek za domem rolnika – o ile na świecie będą jeszcze domy i rolnicy – zostanie genetycznie zmodyfikowany, to wtedy co? Co zrobimy później? Co jeszcze będziemy w stanie zniszczyć? Rozumiem, że Elon Musk razem z firmą SpaceX ucieknie na Marsa. A reszta?

Żółtawe prostokąty są zwykle dość sporej wielkości: kilometr na dwa z wąziutkim pasem lasu dookoła. To pewnie tak, żeby nikt się nie czepiał. Znow: podróżny, który przemierzałby krzyżujące się pod kątem prostym piaszczyste ścieżki regionu, wyjedzie z przekonaniem, że właśnie oglądał dziewiczy las serca Ameryki. Zazwyczaj pośrodku każdego z terenów zachowuje się niewielki kwadracik lasu, prawdopodobnie z przeznaczeniem na lokalizację siedziby posiadłości.

Działki są identyczne i przygotowano ich tysiące. Czytelnik musi jedynie zdecydować, która podoba mu się najbardziej, zapłacić odpowiednią liczbę milionów dolarów, przywieźć rasowe krowy i zacząć zliczać zyski z eksportu wołowiny.

To chyba dlatego patrzę na deforestację Chaco z dużo większym zniesmaczeniem niż na tę przeprowadzoną na wschodzie kraju. W tym drugim przypadku ci, którzy karczowali puszcę, przyjechali do Paragwaju z rodzinami, wymęczeni przeciwnościami losu, poszukujący swojego miejsca na świecie. Innymi słowy: tragedia ekologiczna, jaką spowodowali, miała uzasadnienie w instynkcie przetrwania. Mam na myśli: przynajmniej w pierwszych latach, później nieco przesadzili. Tymczasem Chaco znika wyłącznie w wyniku ludzkiej chciwości: mam dużo pieniędzy, kupię sobie pięćdziesiąt tysięcy hektarów taniej ziemi na zachodzie Paragwaju, wykarczuję ją do zera, zacznę eksportować mięso i będę miał jeszcze więcej pieniędzy. [...]

Stalowy, biały kadłub statku brnie na północ, rozcinając na dwoje równą taflę wody. To długo oczekiwane wydarzenie: okręt odchodzi jedynie raz w tygodniu z portu w Concepción i w swoim powolnym rejsie odwiedza nieliczne miasteczka uśpione na obu brzegach rzeki Paragwaj. W czasie pory deszczowej gruntowe drogi stają się absolutnie nieprzejezdne. Pasy startowe lokalnych lotnisk zamieniają się w błotniste kałuże i odmawiają przyjmowania kilkusobowych awionetek latających nieregularnie z Asunción. Wówczas transport rzeczny jest jedynym sposobem na dotarcie w te odległe zakątki kraju.

Na dziobie piętrzą się materiały budowlane: lśniące płyty blachodachówki, zwoje siatek i drutów kolczastych oraz plastikowe rury kanalizacyjne. Jest jedna lodówka, pralka i długi rząd butli gazowych okrytych niebieską plandeką, mającą chronić je przed tropikalnym słońcem. Żywność jest przewożona pod dachem. Także pod dachem, na parterze, na dwóch korytarzach biegnących wzdłuż kadłuba, funkcjonuje pływający targ, do którego schodzą w poszukiwaniu przekąsek pasażerowie ścisnięci na pierwszym piętrze i gdzie zaopatrują się mieszkańcy nabrzeża podczas krótkich postojów okrętu przy wiejskich pomostach.

Oprócz niewielkich miasteczek, jak Puerto Pinasco czy Puerto Casado z ich kilkutysięczną populacją, od czasu do czasu na zielonym brzegu rzeki pojawiają się pojedyncze domy, czasem dwa czy trzy naraz, zawsze małe i zbite z desek. Wówczas statek zwalnia, hałaśliwy motor diesla zawiesza na kilka chwil nieustanne kołatanie. Z prawej burty odchodzi nieduża motorówka, brudna i zniszczona, zabierając kilku pasażerów o ciemnej skórze, spranych ubraniach i rozczochranych włosach. To scenariusz, który powtarza się zawsze, gdy na brzeg wysiadają pasterze z gospodarstw lub ludność rdzenna. W przypadku, gdy pokład chce opuścić właściciel ziemski, statek posłusznie zbliża się do nabrzeża, umożliwiając, by jeden czy dwóch mężczyzn o skórze zdecydowanie jaśniejszej, w porządnym jeansach i białych koszulach zeszło wygodnie na suchy ląd po

drewnianej kładce mocowanej naprędcie przez personel pokładowy. Na panów czeka już służba (ciemnoskóra, o spranej odzieży i rozczochranych włosach), gotowa by nosić na grzbiecie worki z zaopatrzeniem na kolejne tygodnie. [...]

Jorge siedzi przy barze jadłodajni funkcjonującej na tyłach statku. Trzydziestolatek notuje coś leniwie w niewielkim notesie. Może dla zabicia czasu: jeszcze trzy dni rejsu do Bahía Negra. Pochodzi ze wschodniej części kraju, ale w ostatnich latach jego rodzina zajęła się handlem na dalekiej chakeńskiej północy. Otworzyli sklep z elektroniką.

„Głośniki, radia, telefony” – precyzuje. „Na dniach otwieramy filię w Toro Pampa”.

Zazwyczaj podróżuje samochodem, ale po tygodniu intensywnych deszczów, zdecydował się – jak wielu – na rejs statkiem.

Chaco jest jak północnoamerykański Dzikie Zachód przeniesiony na południe kontynentu i w XXI wiek: kraj bezprawia, ziemia obiecana awanturników, gdzie jedynymi zasadami są odwaga, siła fizyczna, polityczna lub finansowa. Na zuchwałych czekają góry złota lub śmierć z pragnienia. Zuchwali mówią w różnych językach, bardzo często po portugalsku. I to nie tylko ci najzamożniejsi.

„W Bahía Negra powstała cała fawela przybyszów z Mato Grosso” – opowiada Jorge. „Ludzi, którzy sprowadzili się w ślad za właścicielami ziemskimi. Liczą na pracę”.

Brazylijskie Mato Grosso nie jest już dziką puszcza zamieszkaną przez nieznane ludy, jak opisywali je podróżnicy sprzed półwieku. Dziś to tylko kolejne megapastwisko na mapie kontynentu.

Do Brazylijczyków w Chaco dochodzą Holendrzy, Koreańczycy, latyfundiści z Argentyny czy Urugwaju. Szacuje się, że ci ostatni zgromadzili już w sumie 2 miliony hektarów, czyli 5% paragwajskiego terytorium. Eksportem mięsa produkowanego na

wylesionych terenach zajmują się przede wszystkim przedsiębiorstwa brazylijskie, takie jak JBS czy Minerva. Działalność tych ostatnich finansują czołowe korporacje międzynarodowe, wśród nich JP Morgan Chase, Goldman Sachs, HSBC czy Santander Bank.

W Chaco nie mogło zabraknąć również byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, George'a W. Busha. To nawet zrozumiałe, że człowiek, który w swojej karierze politycznej zajmował się wywoływaniem wojen gdzie popadnie, usłyszał głos analityków zapewniających, że następny konflikt o znaczeniu światowym będzie spowodowany wyścigiem o dostęp do wody pitnej. W związku z tym – i tak na wszelki wypadek – Bush zakupił 40 tysięcy hektarów ziemi, położonych dokładnie ponad Acuífero Guaraní, uważanym za jeden z największych na świecie rezerwuarów wód podziemnych, przebiegający przez pogranicze Boliwii, Paragwaju i Brazylii.

Nie tylko posesja Bushów, ale i wiele innych działek sprzedawanych obcokrajowcom znajduje się w strefie bezpieczeństwa, zdefiniowanej jako pas o szerokości 50 kilometrów od granicy państwa. W 2005 roku weszła w życie ustawa, która zabrania sprzedaży tych terenów nie-Paragwajczykom. Ponownie mamy więc do czynienia z masowymi przypadkami nielegalnego handlu ziemią. Ale po wyczerpującej podróży przez historię i aktualne problemy społeczne śródlądowej republiki, wyobrażam sobie, że nikogo to już nie dziwi.

Prawdziwy problem pojawi się, gdy nowi właściciele Chaco powołają Niezależną Republikę Krów czy coś w tym rodzaju, pozbawiając Paragwaj sześćdziesięciu procent jego terytorium. Można sobie wyobrazić, że taka decyzja spotkałaby się z poparciem ludności rdzennej regionu, którą paragwajska administracja publiczna interesuje się niewiele. Jeśli dodamy do tego prawo do samostanowienia narodów i ewentualne poparcie międzynarodowych kupców chakeńskiej wołowiny, może bylibyśmy świadkami powstania nowego kraju na mapie kontynentu.

Na szczęście są jeszcze paragwajscy feudałowie, którzy zjawiają się w samą porę, by konkurować z obcokrajowcami w procesie rozbioru Chaco. Deputowani partii rządzącej, senatorowie i ich dzieci, były prezydent Horacio Cartes z rodziną, jego wice, José Afara, inny eksmandatariusz, Juan Carlos Wasmosy, i byli wojskowi z otoczenia dyktatora Stroessnera również dopisują na swoje konta dziesiątki tysięcy hektarów w zachodnim Paragwaju. Technika jest znana, bo ponownie mamy do czynienia z terenami Skarbu Państwa teoretycznie przeznaczonymi na reformę rolną. Ale jako że na odległych rubieżach chakeńskich nie ma rolników, którzy mogliby się domagać przestrzegania prawa, czy w ogóle nikogo, kto by się mógł o sprawie dowiedzieć, prawdopodobnie współczesne rozkradanie Chaco jest najmniej znanym z długiej listy oszustw paragwajskiej klasy politycznej.

Drugiego dnia pod wieczór statek dopływa do Carmelo Peralta, paragwajskiej miejscowości położonej naprzeciw brazylijskiego Porto Murtinho. Istnieją zaawansowane plany konstrukcji mostu, jednak póki co niewielkie motorówki kontynuują wahadłowy ruch od brzegu do brzegu, przewożąc nielicznych pasażerów. Jednym z nich jest Edicarlos, brazylijski dziennikarz radiowy, który co rano rozpoczyna program informacyjny nadawany po portugalsku na antenie radia Alto Paraguay FM z Carmelo Peralta.

Alto Paraguay (Górny Paragwaj), przepastny kawał ziemi na północno-zachodnich kresach, to najrzadziej zaludniony i jednocześnie drugi co do wielkości departament kraju, zajmujący jedną piątą narodowego terytorium. Według danych za rok 2008 aż 34% powierzchni regionu znajdowało się w rękach obcokrajowców. Ten odsetek z pewnością wzrósł.

„Brazylijscy hodowcy bydła zainteresowali się kupnem ziemi po drugiej stronie rzeki dopiero w ostatnich pięciu, może dziesięciu latach” – zapewnia urodzony w Paragwaju, a wychowany w Brazylii właściciel hotelu dla wędkarzy w Porto Murtinho. „Dzisiaj w północnym Chaco Brazylijczycy są samowystarczalni: mają swoje drogi, własne linie energetyczne,

słupy telefoniczne, wszystko”.

„W ostatnich latach 90% terenów sprzedanych w departamencie Alto Paraguay trafiło w ręce Brazylijczyków” – ocenia Nerry Chamorro z organizacji Guyrá Paraguay. „Z ich punktu widzenia tamte ziemie to już nie jest Paragwaj – stwierdza, przełyka ślinę i dodaje: to nie są żarty. To się dzieje na naszych oczach”. [...]

To, co wydarzyło się na wschodzie Paragwaju w XX wieku i co w Chaco dzieje się obecnie, nie odbiega znacznie od sytuacji z wieku XVI, kiedy hiszpańscy konkwistadorzy zakładali pierwsze kolonie za oceanem. W obu przypadkach mamy do czynienia z inwazją ludzi dysponujących odmienną technologią i mentalnością, którzy w sposób mniej lub bardziej niesprawiedliwy zawłaszczają ziemie i zasoby naturalne, i narzucają model gospodarczy oparty na ekstrakcji i eksporcie surowców, dzieląc się zyskami w wąskim gronie. Różnica jest czysto techniczna: tym razem to nie srebro i złoto spływają do portu w Kadyksie – to mięso i soja wypływają na szerokie wody rynku światowego. Paragwaj, który w dziewiętnastym stuleciu przestał być kolonią hiszpańską, dziś stał się kolonią nas wszystkich. Kolonią świata.

Autorstwo: Wojciech Ganczarek

Fragment książki pt. „Sprzedam kraj. Reportaże z Paragwaju”

Źródło: NowyObywatel.pl